

Ashley Poston



Tłumaczyła
MONIKA WIŚNIEWSKA



GORZKA
CZEKOLADA

Tytuł oryginału
THE DEAD ROMANTICS

Copyright © 2022 by Ashley Poston
Readers Guide copyright © 2022 by Ashley Poston
All rights reserved.

Copyright © 2023 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce Vi-An Nguyen
Opracowanie polskiej wersji okładki, skład i łamanie
Andrzej Komendziński

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-303-8

Gorzka Czekolada jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk
Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność,
promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury.
Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, nabywasz książki
legalnie i nie udostępniasz ich publicznie, np. w Internecie.
Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz autorów
i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.

*Dla wszystkich pisarzy
każących nam wierzyć
w szczęśliwe zakończenia.*

Pogrzebana opowieść

W lewym rogu na tyłach Domu Pogrzebowego Było Minęło, pod oblużowaną deską w podłodze skrywała się metalowa puszka ze starymi zeszytami. Osoba, która by je znalazła, uznałaby te zapiski za seksualne frustracje nastoletniej dziewczyny inspirowane Lestatem albo tamtym kolesiem z *Z Archiwum X*.

A jeśli nie mieliście nic przeciwko duchom, wampirom, przysięgom krwi, skórzanym spodniom i prawdziwej miłości, te opowiadania były całkiem dobre.

Moglibyście się zastanawiać, dlaczego ktoś ukrył zeszyty ze sprośnymi fanfikami pod podłogą stuletniego domu pogrzebowego, nie powinno się jednak kwestionować stanu umysłu nastolatki. Nie zaszlibyście w ten sposób za daleko.

Schowałam je tam, ponieważ... cóż, tak po prostu zrobiłam, okej? Bo kiedy wyjeżdżałam na studia, chciałam pogrzebać tę część mnie – tę mroczną, dziwaczną stronę rodem z *Rodziny Addamsów* – a jakież miejsce lepiej się do tego nadawało niż dom pogrzebowy?

I prawie mi się to udało.

1

Ghostwriterka

W każdej porządnej historii kryje się parę sekretów. Tak mi przynajmniej mówiono. Czasem te sekrety dotyczą miłości, czasem rodziny, czasem morderstwa – niektóre są tak nieistotne, że trudno je w ogóle uznać za sekrety, niemniej dla ich właściciela mają ogromne znaczenie. Każdy ma jakiś sekret. Za każdym sekretem kryje się historia.

A w mojej głowie każda historia ma szczęśliwe zakończenie.

Gdybym była bohaterką historii, powiedziałabym wam, że mam trzy sekrety.

Pierwszy: od czterech dni nie umyłam włosów.

Drugi: do mojej rodziny należał dom pogrzebowy.

I trzeci: byłam ghostwriterką mega popularnej i cieszącej się ogromnym uznaniem autorki romansów Ann Nichols.

I byłam potwornie spóźniona na spotkanie.

– Proszę przytrzymać drzwi! – zawołałam, omijając w recepcji pracownika ochrony i biegnąc w stronę wind.

– Panienko! – zawołał za mną speszony ochroniarz. – Musi się pani wpisać! Nie można ot tak...

– Florence Day! Falcon House Publishers! Zadzwoń pan do Erin, a ona mnie zatwierdzi! – Obejrzałam się przez ramię i wślizgnęłam do jednej z wind. Razem z kaktusem.

Gdy drzwi się zasunęły, siwiejący mężczyzna w eleganckim garniturze zmierzył wzrokiem roślinę.

– Prezent dla mojego nowego redaktora – wyjaśniłam, bo nie należałam do osób, które wszędzie zabierają ze sobą sukulenty. – Wiadomo, że nie dla mnie. Ja zabijam wszystko, czego się dotknę, w tym już trzy kaktusy.

Mężczyzna zakaszłał w dłoń i odsunął się ode mnie. Kobieta po drugiej stronie powiedziała takim tonem, jakby mnie chciała pocieszyć:

– To wspaniale, moja droga.

Co oznaczało, że to okropny prezent. To znaczy, mnie też się tak wydawało, ale zbyt długo czekałam na stacji na pociąg, w stanie lekkiej paniki rozmawiając z bratem przez telefon, i wtedy zobaczyłam drepczącą po peronie zasuszoną staruszkę z wałkami na głowie, która sprzedawała kaktusy po dolarze za sztukę, a kiedy się denerwowałam, to kupowałam różne rzeczy. Głównie książki, ale wyglądało na to, że teraz także rośliny doniczkowe.

Mężczyzna w garniturze wysiadł na dwudziestym piętrze, a kobieta, która przytrzymała dla mnie windę – na dwudziestym siódmym. Nim drzwi znowu się zasunęły, zjrzałam na chwilę do ich światów: nieskazitelnie biała wykładzina albo wypolerowana drewniana podłoga i szklane witryny ze starymi książkami. W tym biurowcu swoje siedziby miało całkiem sporo wydawnictw, zarówno tych, które publikowały online, jak i tych od książek papierowych,

a na jednym z pięter mieściła się nawet redakcja gazety. Równie dobrze mogłam jechać windą z redaktorem Nory Roberts.

Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżałam, byłam wyjątkowo wyczulona na to, że ludziom wystarczy jedno spojrzenie na mnie – w wydających piskliwe dźwięki butach na płaskim obcasie, pocerowanych rajtuzach i za dużym kracastym płaszczu – aby dojść do wniosku, że jestem za niska na to miejsce.

Co... było prawdą. Miałam ledwo metr pięćdziesiąt pięć i wszystko, co nosiłam, było wygodne, a nie stylowe. Rose, moja współlokatorka, zawsze żartowała, że jestem osiemdziesięciolatką w ciele dwudziestoosmiolatki.

Czasami tak się właśnie czułam.

Najlepszy relaks zapewniał Netflix, poduszka ortopedyczna i kieliszek wina.

Kiedy drzwi windy rozsunęły się na trzydziestym siódmym piętrze, byłam już sama i tuliłam do siebie doniczkę z kaktusem, jakby to była kamizelka ratunkowa na środku morza. Siedziba Falcon House Publishers była nieskazitelnie czysta i biała, a po obu stronach wejścia stały dwa podświetlane fluorescencyjnym światłem regały, w których pyszniły się wszystkie bestsellery i literackie arcydzieła, jakie wydawnictwo wydało w swojej siedemdziesięciopięcioletniej historii.

Co najmniej połowę regału po lewej stronie zajmowały książki Ann Nichols: *Córka wyspiarza*, *Las marzeń*, *Dom na zawsze*, te, którymi zachwycała się moja mama, kiedy jako nastolatka pisywałam swoje sprośne fanfiki o Lestacie. Obok nich stały nowsze powieści Ann: *Prawdopodobieństwo miłości*, *Poradnik rozpustnika: jak zdobyć dziewczynę* (z tego tytułu

byłam najbardziej dumna) oraz *Pocałunek w Midnight Martinee*. W okładkach za szybą odbijała się moja twarz bladej i niewyspanej młodej kobiety z włosami w odcieniu brudnego blondu, zebranymi na czubku głowy w luźny koczek i z cieniami pod zmęczonymi brązowymi oczami. Kolorowy szal i obszerny beżowy sweter sprawiały, że wyglądałam jak gość Klubu Przędza Miesiąca, nie zaś jednego z najbardziej uznanych wydawnictw na świecie.

Formalnie rzecz biorąc, ja nie byłam tu gościem. Była nim Ann Nichols, a mnie uważano za jej podrzędną asystentkę.

I czekało mnie spotkanie.

Stałam skrępowana w holu, z kaktusem przyciśniętym do piersi, a ciemnowłosa recepcjonistka Erin uniosła palec, kończąc prowadzoną przez telefon rozmowę. Coś tam o sałatce na lunch. Kiedy w końcu się rozłączyła, podniosła głowę znad ekranu i zobaczyła, że to ja.

– Florence! – przywitała mnie z promiennym uśmiechem.
– Jak dobrze widzieć cię na chodzie! Jak tam Rose? Ta wczorajsza impreza była naprawdę gruba.

Starłam się nie krzywić na myśl o tym, jak o trzeciej nad ranem dotarłyśmy z Rose do mieszkania.

– To prawda.

– Rose nadal żyje?

– Przetrwiała już gorsze.

Erin zaśmiała się. Następnie rozejrzała się po części recepcyjnej, jakby kogoś szukała.

– Pani Nichols nie zjawi się dzisiaj?

– O nie, nadal przebywa w Maine, robiąc... swoje.

Erin pokręciła głową.

– Nie zastanawiasz się czasem, jak to jest być Ann Nicholsami i Stephenami Kingami tego świata?

– Pewnie fajnie – przyznałam. Ann Nichols nie opuszczała swojej małej wysepki w Maine od... pięciu lat? W każdym razie odkąd dla niej pracowałam.

Pociągnęłam w dół owinięty wokół ust i szyi kolorowy szalik. Choć zima już minęła, Nowy Jork zawsze fundował przed wiosną ostatnie uderzenie zimna i musiało się to zdarzyć właśnie dzisiaj. Zaczynałam się już pocić pod płaszczem.

– Pewnego dnia – dodała Erin – powiesz mi, jak to się stało, że zostałam asystentką Ann Nichols.

Roześmiałam się.

– Już ci mówiłam, dzięki reklamie w Craiglist.

– Nie wierzę.

Wzruszyłam ramionami.

– *C'est la vie.*

Erin była ode mnie kilka lat młodsza, a na jej biurku dumnie się prezentował dyplom ukończenia studiów na Uniwersytecie Columbia. Rose poznała ją jakiś czas temu przez aplikację randkową i kilka razy się umówiły, choć z tego, co słyszałam, teraz ich znajomość miała charakter czysto przyjacielski.

Rozdzwonił się telefon na biurku.

– No to możesz iść, pamiętasz drogę, tak? – powiedziała szybko Erin.

– No jasne.

– Super. Powodzenia! – dodała, po czym swoim najlepszym głosem recepcjonistki rzuciła do telefonu: – Dzień dobry! Falcon House Publishers, z tej strony Erin...

No i zostałam pozostawiona samej sobie.

Wiedziałam, dokąd się udać, dlatego że u poprzedniej redaktorki bywałam tyle razy, że trafiłabym tam z zawią-

zanymi oczami. Tabitha Margraves odeszła niedawno na emeryturę, w absolutnie najgorszym czasie, i z każdym krokiem, który przybliżał mnie do gabinetu, mocniej zaciskałam dłoń na doniczce z biednym kaktusem.

Tabitha wiedziała, że jestem ghostwriterką Ann. Wiedziały o tym jedynie ona i agentka Ann – cóż, Rose także, ale ona się nie liczyła. Czy Tabitha zdradziła ten cenny sekret nowemu redaktorowi? Boże, oby. W przeciwnym razie to spotkanie okaże się mocno krępujące.

Wzdłuż korytarza biegły ściany z matowego szkła. Ich celem było zapewnienie prywatności, słabo z tym jednak sobie radziły. Słyszałam, jak cienie redaktorów, marketingowców i piarowców rozmawiają ściszymi głosami o pozyskaniach, planach marketingowych, zobowiązaniach wynikających z umowy, trasach promocyjnych... przenoszeniu środków z budżetu jednej książki do drugiej.

O tych wszystkich aspektach wydawniczych, o których nikt tak naprawdę nigdy nie mówi.

Działalność wydawnicza wydawała się bardzo romantyczna, dopóki samemu nie trafiło się do tej branży. Wtedy przekształcała się w kolejny rodzaj korporacyjnego piekła.

Minęłam kilkoro asystentów redaktorów w kwadratowych boksach, ze stosami maszynopisów sięgającymi niemal końca przepierzeń. Wyglądali na wykończonych i pożywiali się marchewkami z humusem. Najwyraźniej te sałatki zamawiane przez Erin nie były przeznaczone dla nich, co nie znaczy, aby asystenci zarabiali tyle, aby móc sobie pozwolić na codzienne jedzenie na wynos. Usytuowaniem gabinetów rządziła pewna hierarchia – im dalej się szło, tym wyższe zarobki. Doszłam do końca korytarza i zatrzymałam się zdumiona. Z drzwi gabinetu zniknął kwiatowy wieniec,

który miał przynosić szczęście, a ze ściany z matowego szkła naklejki z napisami: NIE PRÓBUJ, LECZ RÓB! i ROMANTYZM NIE UMARŁ!

Przez chwilę wydawało mi się, że źle skręciłam, ale wtedy rozpoznałam stażystkę, która siedziała w niewielkim boksie i z pełnym udręki rozgorączkowaniem wkładała do kopert egzemplarze sygnałne jakiejś książki w miękkiej oprawie.

Mój nowy redaktor nie tracił czasu i w ekspresowym tempie zerwał naklejki, a wieniec wyrzucił do kosza. Nie wiedziałam, czy to dobry znak, czy wprost przeciwnie.

Pod koniec pracy Tabithy Margraves w Falcon House coraz częściej miałyśmy odmienne zdanie.

– Romantyzm wierzy w szczęśliwe zakończenia. Przekaż to Ann – tak mówiła z przekąsem, bo przecież w gruncie rzeczy to ja byłam Ann.

– Ann już w to nie wierzy – odparowywałam.

Jestem przekonana, że do czasu, kiedy wręczyła wymówienie i wyjechała cieszyć się emeryturą na Florydzie, obie planowałyśmy się nawzajem zgładzić. Ona nadal wierzyła w miłość – jakimś cudem, niemożliwie.

A ja potrafiłam przejrzeć to kłamstwo.

Miłość oznaczała wytrzymywanie z kimś przez pięćdziesiąt lat, żeby mieć kogoś, kto cię po śmierci pochowa. Już ja coś wiedziałam na ten temat – moja rodzina pracowała w branży związanej ze śmiercią.

Kiedy jej to powiedziałam, Tabitha nazwała mnie ignorantką.

Odparłam, że jestem realistką.

A to ogromna różnica.

Z kaktusem na kolanach usiadłam na jednym z dwóch krzeseł przed gabinetem i czekałam, przewijając posty na

Instagramie. Moja młodsza siostra wrzuciła fotkę z burmistrzem mojego rodzinnego miasteczka – goldenem retrieverem – i ogarnęła mnie tęsknota za domem. Za pogodą, za domem pogrzebowym, za niesamowitym pieczonym kurczakiem mamy.

Ciekawe, co szykowała dzisiaj na kolację.

Pograżona w myślach, nie usłyszałam, że drzwi gabinetu się otwierają. Do terazniejszości przywołał mnie dopiero zdecydowanie męski głos:

– Przepraszam, że musiała pani czekać, zapraszam do środka.

Zaskoczona zerwałam się z krzesła. Czyżbym czekała pod niewłaściwym gabinetem? Zerknęłam na boksy – po lewej stronie ciemnowłosa stażystka-pracoholiczka pakująca książki do kopert, po prawej szlochający w sałatkę dyrektor działu kadr – nie, to zdecydowanie właściwy gabinet.

Mężczyzna odchrząknął ze zniecierpliwieniem.

Tak mocno przycisnęłam kaktusa do piersi, że czułam, jak doniczka się wygina, po czym weszłam do gabinetu.

I zamarłam.

Rzeczony mężczyzna usiadł na skórzanym fotelu, który przez trzydzieści pięć lat (pewnie dłużej, niż on w ogóle żył) zajmowała Tabitha Margraves. Biurko, wcześniej zastawione porcelanowymi bibelotami i zdjęciami jej psa, teraz było czyste, a wszystko leżało na swoim miejscu. To biurko niemal perfekcyjnie odzwierciedlało siedzącego za nim mężczyznę: zbyt wytwornego, w wyprasowanej białej koszuli, której materiał napierał na szerokie ramiona, a podwinięte do łokci rękawy odkrywały onieśmielająco seksowne przedramiona. Czarne, zaczesane do tyłu włosy odsłaniały pociągłą twarz i uwydatniały równie długi nos, na którym

znajdowały się czarne, kanciaste okulary. Na twarzy widać było jasne piegi: jeden przy prawej dziurce od nosa, dwa na policzku, jeden tuż nad gęstą prawą brwią. Cała konstelacja. Przez chwilę miałam ochotę wziąć marker i połączyć je, aby się przekonać, jaki kryje się w nich mit. W następnej chwili szybko do mnie dotarło, że...

Och.

Ten mężczyzna był seksowny. I miałam już okazję go spotkać. Na imprezach wydawniczych z Rose albo moim byłym chłopakiem. Nie pamiętałam, jak się nazywa, ale na pewno natknęłam się na niego więcej niż raz. Wstrzymałam oddech, zastanawiając się, czy mnie poznał.

Przez chwilę tak mi się wydawało, dlatego że otworzył szerzej oczy – minimalnie, na tyle jedynie, abym nabrała podejrzeń, że coś wie – zaraz to jednak minęło.

Odchrząknął.

– Pani jest zapewne asystentką Ann Nichols – powiedział bez zająknięcia.

Wstał i obszedł biurko, po czym wyciągnął do mnie rękę. Był... olbrzymi. Taki wysoki, że poczułam się, jakbym nagłe przeniosła się do bajki *Jaś i magiczna fasola*, w której on jest bardzo grubą łodygą fasoli, na którą mam ogromną ochotę się wspiąć...

„Nie. Nie, Florence. Niegrzeczna dziewczyna” – zbesztalam siebie w myślach. „Nie chcesz wspiąć się na niego jak na drzewo, dlatego że jest twoim nowym redaktorem, a co za tym idzie, w żadnym razie nie wolno się na niego wspinać”.

– Florence Day – powiedziałam, ujmując jego dłoń.

– Benji Andor, ale może nazywać mnie pani Benem.

– Florence – powtórzyłam zaszokowana, że potrafię wydobyc z siebie coś więcej niż pisk.

Kąciki jego ust lekko drgnęły.

– Już to pani mówiła.

Szybko zabrałam rękę.

– O Boże. No tak, przepraszam.

Usiadłam nieco zbyt energicznie na niewygodnym krześle z Ikei. Na moich kolanach spoczywał kaktus. Policzki dosłownie mi płonęły i skoro to czułam, wiedziałam, że on też widzi moje rumieńce.

Ponownie usiadł i poprawił leżące na biurku pióro.

– Miło panią poznać. Przepraszam, że musiała pani czekać, podróż metrem to było dzisiaj prawdziwe piekło. Erin wciąż mi powtarza, abym nie jeździł linią B, a mimo to jak głupiec robię to za każdym razem.

– Albo masochista – dodałam, nim zdążyłam się postrzymać.

Zaśmiał się.

– Może jedno i drugie.

Przygryzłam wewnętrzną stronę policzka, aby ukryć uśmiech. Miał naprawdę przyjemny śmiech, niski i gardłowy.

O nie, to spotkanie w ogóle nie szło zgodnie z planem.

Teraz mnie lubił, a za pięć minut już nie będzie. Nawet ja nie darzyłam siebie sympatią za to, co zamierzałam zrobić – dlaczego uznałam, że prezent w postaci kaktusa wszystko ułatwi?

Poprawił pióro tak, że leżało równoległe do klawiatury. W jego gabinecie wszystko było takie uporządkowane. Odniosłam wrażenie, że jest on tego typu osobą, która po znalezieniu w księgarni odłożonej nie na miejsce książki odniesie ją na odpowiednią półkę.

Wszystko miało swoje miejsce.

Jego domeną był *bullet journal*, moją karteczki samoprzylepne.

W sumie to może i dobrze. Sprawiał wrażenie bardzo zasadniczego, a osoby zasadnicze rzadko były romantyczne, dlatego też nie spojrzy na mnie z pogardą, kiedy mu w końcu powiem, że nie wierzę już w książki o miłości. Pokiwa z powagą głową, wiedząc dokładnie, co mam na myśli. I wolałam już coś takiego niż smutne spojrzenie ciemnych oczu Tabithy Margraves i jej pytanie: „Dlaczego nie wierzysz już w miłość, Florence?”

Dlatego, że kiedy człowiek zbyt wiele razy włoży rękę w ogień, to się nauczy, że może się tylko sparzyć.

Mój nowy redaktor poprawił się na fotelu.

– Szkoda, że pani Nichols nie mogła się dzisiaj zjawić. Chętnie bym ją poznał – zaczął, wyrywając mnie z rozmyślań.

Poruszyłam się na krześle.

– Och, Tabitha panu nie powiedziała? Ona nigdy nie wyjeżdża z Maine. Z tego, co mi wiadomo, to mieszka na wyspie. W sumie na jej miejscu też bym nie miała ochoty wyjeżdżać. Podobno w Maine jest bardzo ładnie.

– To prawda! Wychowałem się tam – odparł. – Miałem okazję widzieć wiele łośi. Są olbrzymie.

„Na pewno nie jesteś na wpół łośiem?” – zapytał mój zdradziecki umysł. Skrzywiłam się, bo ta myśl była bardzo niewłaściwa i bardzo niegrzeczna.

– No to pewnie jest pan przygotowany na szczury w Nowym Jorku.

Znowu się roześmiał, tym razem zaskakując samego siebie. Miał imponująco biały uśmiech. Docierał do oczu, zamieniając brząz w roztapiającą się ochrę.

– Na to nic nie mogło mnie przygotować. Widziała pani szczury na Union Square? Przysięgam, że jednego ujeżdżał dżokej.

– Och, nie wie pan? Na stacji 18 Street urządzone są wyścigi myszy i szczurów.

– Często pani na nich bywa?

– O tak, uwielbiam tę myszyczcielską prędkość.

– Wow, prawdziwa z pani mysz-strzyni kalamburów.

Parsknęłam śmiechem i odwróciłam wzrok. Nie chciałam na niego patrzeć, ale podobał mi się jego wdzięk, a nie znośliam rozczarowywać ludzi i...

Odchrząknął i powiedział:

– Cóż, panno Day, myślę, że musimy porozmawiać o najnowszej powieści Ann...

Jeszcze mocniej zacisnęłam dłonie na doniczce z kaktusem. Moje spojrzenie przeskakiwało z jednej pustej ściany na drugą. W tym gabinecie nie było na co patrzeć. Wcześniej znajdowało się w nim mnóstwo rzeczy – sztuczne kwiaty, a na ścianach zdjęcia i okładki książek – teraz jednak na ścianie wisiał jedynie dyplom ukończenia studiów z literatury pięknej...

– Czy to musi być romans? – wyrzuciłam z siebie.

Zaskoczony przechylił głowę.

– To... jest imprint wydający romanse.

– Ja... wiem, ale... Nicholas Sparks pisze smutne książki, a John Green melodramaty z chorobami w roli głównej, no i czy nie sądzi pan, że ja, to znaczy pani Nichols, mogłaby stworzyć coś w podobnym duchu?

Przez chwilę milczał.

– Czyli dramat.

– O nie. To nadal byłaby historia o miłości! Oczywiście, że tak. Ale historia o miłości, która nie kończy się perfekcyjnym „żyli długo i szczęśliwie”.

– Działamy w branży szczęśliwych zakończeń – powiedział powoli, starannie dobierając słowa.

– A to kłamstwo, prawda?

Zasnuował usta.

– Romantyzm jest martwy, a to, to wszystko wydaje się oszustwem. – Wypowiedziałam te słowa, zanim zaaprobował to mój mózg, a kiedy tylko się zorientowałam, co się wydostało z moich ust, skrzywiłam się. – Nie chciałam... to nie jest stanowisko Ann, a jedynie moja opinia...

– Jest pani jej asystentką czy redaktorką?

Te słowa były niczym policzek. Moje spojrzenie szybko powróciło do niego i znieruchomiałam. Jego oczy straciły ochrowe ciepło, a rysy twarzy zastygły w pozbawioną emocji maskę.

Mocniej zacisnęłam dłonie na kaktusie. Czyli ten nowy redaktor nie wiedział, że jestem ghostwriterką Ann. Tabitha mu nie powiedziała albo zapomniała – ups, wyleciało jej to z głowy! No i teraz musiałam to zrobić.

Był w końcu moim redaktorem.

Ale zgorzkniała i skrępowana część mnie nie miała na to ochoty. Nie chciałam, aby się przekonał, jak bardzo nie panuję nad swoim życiem, bo przecież jako ghostwriterka Ann powinnam? Panować nad nim?

Czy moje życie nie powinno być lepsze niż to?

Kiedy dorastałam, moja matka czytała książki Ann Nichols, a zatem ja także. Jako dwunastolatka zakradałam się w bibliotece do działu romansów i cichutko czytałam mię-

dzy regałami *Las marzeń*. Jej bibliografię znałam na wrywki niczym dyskografię mojego ulubionego zespołu.

A potem stałam się jej piórem.

Choć na okładce znajdowało się nazwisko Ann, to ja napisałam *Prawdopodobieństwo miłości*, *Poradnik rozpustnika: jak zdobyć dziewczynę* i *Pocałunek w Midnight Matinee*. Przez pięć ostatnich lat Ann Nichols wysyłała mi czek, abym napisała daną książkę, a potem to robiłam, a słowa w tych książkach – moje słowa – były wychwalane od „New York Times Book Review” do „Vogue’a”. Te powieści stały na półkach obok Nory Roberts, Nicholasa Sparksa i Julii Quinn i były moje.

Pisałam dla jednej z największych autorek romansów – praca, za którą każdy gotów byłby zabić – i... zawodziłam.

Być może już zawiodłam. Przed chwilą zagrałam ostatnią kartą atutową – o to, abym mogła napisać książkę, jakąkolwiek książkę, byle tylko nie miała szczęśliwego zakończenia – lecz nie uzyskałam na to zgody.

– Panie Andor – zaczęłam łamiącym się głosem. – Prawda jest taka...

– Ann musi złożyć maszynopis w terminie – przerwał zimnym i zasadniczym tonem. Zniknęło ciepło sprzed zaledwie kilku minut. Poczułam, że z każdą chwilą robię się coraz mniejsza, że kurczę się na tym twardym krześle z Ikei.

– Czyli jutro – powiedziałam cicho.

– Tak, jutro.

– A jeśli... jeśli nie może?

Zacisnął usta w cienką linię. Miał szerokie usta, wyrażające to, przed czym powstrzymywała się reszta twarzy.

– Ile czasu potrzebuje?

„Rok. Dziesięć lat.

Wieczność”.

– Eee... miesiąc? – zapytałam z nadzieją.

Uniósł ciemne brwi.

– W żadnym wypadku.

– Na te sprawy potrzeba czasu!

– Rozumiem – odparł, a ja się wzdrygnęłam. Zdjął okulary w ciemnych oprawkach i spojrzał na mnie. – Mogę być z panią szczerą?

„Nie, w żadnym razie”.

– Tak...?

– Ponieważ Ann już trzy razy prosiła o przedłużenie terminu, to nawet gdybyśmy dostali maszynopis jutro, aby zdążyć z harmonogramem, naprawdę musielibyśmy się sprężyć z redakcją i składem. Ale tylko pod warunkiem, że dostalibyśmy go jutro. To jest ważna, jesienna książka Ann. Romans – uwaga, uwaga! – ze szczęśliwym zakończeniem. Przygotowaliśmy już odpowiednią promocję. Wykupiliśmy nawet całostronicowy artykuł w „New York Timesie”. Dużo robimy dla tej książki, kiedy więc poprosiłem agentkę Ann o rozmowę z autorką, przekazała mi namiary na panią, jej asystentkę.

Tę część znałam. Molly Stein, agentka Ann, nie była ucieszona telefonem w sprawie rzeczonyj książki. Sądziła, że wszystko idzie zgodnie z planem. Wcześniej nie miałam serca powiedzieć jej, że jest inaczej. Molly nie ingerowała w mój układ z Ann, głównie dlatego, że umówiliśmy się na cztery książki, ta była ostatnia i agentka była przekonana, że nie nawalę.

A jednak tak się właśnie stało.

Nie chciałam nawet myśleć o tym, w jaki sposób Molly przekaże te wieści Ann. Nie chciałam myśleć o tym, jak

bardzo Ann będzie rozczarowana. Raz się z nią spotkałam i potwornie bałam się ją zawieść. Nie chciałam tego zrobić.

Podziwiałam ją. A uczucie, że zawodzisz kogoś, kogo podziwiasz... cóż, niefajne było w dzieciństwie i równie niefajne w życiu dorosłym.

– To, co powstrzymuje panią Nichols przed dokończeniem książki – kontynuował Benji – stało się problemem nie tylko dla mnie, ale także dla marketingu oraz produkcji, i jeśli mamy dotrzymać terminów, to musimy dostać ten maszynopis.

– Ja... ja wiem, ale...

– A jeśli nie jest w stanie wywiązać się z umowy – dodał – obawiam się, że będziemy musieli zaangażować dział prawny.

Dział prawny. To oznaczało niedotrzymanie warunków umowy. To oznaczało, że zawałiłabym tak bardzo, że nie dałoby się już tego odkręcić. Zawiodłabym nie tylko Ann, ale także jej wydawnictwo i czytelników – wszystkich.

Już raz to zrobiłam.

Gabinet zaczął się kurczyć albo dopadł mnie atak paniki. Żywiłam szczerą nadzieję, że to pierwsze. Oddech miałam krótki i urywany. Właściwie to oddychanie przychodziło mi z prawdziwym trudem.

– Panno Florence? Dobrze się pani czuje? Jest pani błada. – Jego głos dochodził z daleka. – Chce pani może wody?

Wepchnęłam tę panikę do niewielkiego pudełka na samym dnie mojej głowy, tam, gdzie trafiało wszystko inne. Wszystkie złe rzeczy. Te, z którymi nie chciałam sobie radzić. Z którymi nie potrafiłam sobie radzić. To pudełko było bardzo przydatne. Wszystko w nim zamykałam. Przywołałam na twarz uśmiech.

– Och, nie. Nic mi nie jest. I... i ma pan rację. Oczywiście, że ma pan rację.

Na jego twarzy malowało się powątpiewanie.

– Czyli jutro?

– Tak – wychrypiałam.

– Świetnie. Proszę pozdrowić ode mnie panią Nichols i przekazać jej, że bardzo się cieszę, mogąc z nią pracować. I przepraszam, czy to kaktus? Dopiero teraz go zauważyłem.

Spuściłam wzrok na sukulenta, który leżał zapomniany na moich kolanach, podczas gdy panika waliła w pudełko w mojej głowie, próbując się uwolnić. Pomyślałam, że nie nawidzę tego człowieka i że jeśli zostanę w tym gabinecie choćby chwilę dłużej, to albo rzucę w niego kaktusem, albo się rozplączę.

Może jedno i drugie.

Zerwałam się na równe nogi i postawiłam roślinkę na brzegu biurka.

– To prezent.

A potem wzięłam do ręki torbę, odwróciłam się na pięcie i nie mówiąc nic więcej, opuściłam redakcję Falcon House Publishers. Jakoś się trzymałam, dopóki nie wyszłam przez drzwi obrotowe na rześki kwietniowy dzień. Wtedy pozwoliłam sobie na to, aby się rozsypać.

Wzięłam głęboki oddech – i wykrzyknęłam przekleństwo w stronę idealnie błękitnego popołudniowego nieba, strasząc stado gołębi.

Potrzebowałam drinka.

Nie, potrzebowałam książki. Morderczego thrillera. Hannibala. Lizzie Borden – wszystko by się nadało.

Może jednego i drugiego.

Nie, zdecydowanie obojga.